

## Liceum w Zamościu

W roku 1947 zlikwidowano Gimnazjum i Liceum w Szczebrzeszynie, w ich miejsce powołano Liceum Pedagogiczne. Kto chciał dalej uczyć się w kierunku ogólnym, musiał przenieść się do szkoły w innej miejscowości. Wybraliśmy, wraz z Tadekiem Klukowskim, koedukacyjną klasę o profilu humanistycznym w Państwowym Liceum im Jana Zamoyskiego w Zamościu. Po dwu tygodniach klasa ta uległa likwidacji z powodu braku chętnych- zapisało się do niej tylko 11 osób.



Liceum w Zamościu- klasa humanistyczna. Stoją od lewej: Romuald Kołodziejczyk, Teresa Dobkówna, Witold Sak, Magda Korba, NN, Jerzy Kołataj i trzy dziewczyny- Zofia Koziełło, NN, i Zyta N. Za nimi wysoki NN. Brakuje Tadeka Klukowskiego. NN znaczy, że nazwiska i imiona wyleciały z dziurawej pamięci, a nie ma już nikogo, kto mógłby je przypomnieć. Chłopcy w modnych wtedy spodniach-pumpach.

Chłopcy przenieśli się do klasy o profilu przyrodniczym Męskiego Liceum im. Jana Zamoyskiego, dziewczyny do Państwowego Liceum Żeńskiego. Do klasy o profilu przyrodniczym trafiło, oprócz mnie i Tadeka Klukowskiego, jeszcze kilku uczniów ze Szczebrzeszyna:

Jerzy Kołataj  
Henryk Cichocki  
Bogusław (Bobek) Hanaka  
Jan Łyp  
Tomasz Niechaj  
Edward Danielewicz  
Władysław Chwiejczak  
Zdzisław Lipski

Wynajęliśmy z Tadeuszem Klukowskim stancję u pana prof. Składnika nauczyciela łaciny w liceum, a wcześniej w latach 1927--1931 inspektora oświaty. Być może, dzisiaj nie pamiętam, prof. Składnik był już w tym czasie emerytem, bowiem nie uczono już w szkołach łaciny. Ja sam uczyłem się jej tylko w pierwszej i drugiej klasie gimnazjum.

Dom państwa Składników był przedwojenno- inteligencki. Nobliwy. Sam piętrowy budynek typu willowego położony w dużym ogrodzie przy ulicy Długiej 24, sprawiał wrażenie dostojne i dostatnie. Z dużą jadalnią i oszkloną werandą z tyłu domu, w której znajdowała się część biblioteki. Było tam m.in. pełne wydanie dzieł Żeromskiego, z którego pani Składnikowa zabroniła nam czytać „Dzieje grzechu”. Nasz pokój przylegał do jadalni. Każdego dnia o określonych porach były wspólne śniadania, obiady i kolacje. Z państwem Składnikami mieszkała młodsza córka z mężem. Oboje pracowali w banku. Pani Składnikowa nazywała zięcia genialnym człowiekiem, co spowodowało, że nosił w naszym języku przezwisko: „geniusz”. Na imię miał zresztą Eugeniusz. Najlepiej zapamiętałem panią Składnikową, kobietę bez grama żółci, zawsze pogodną i spokojną. Przed II wojną światową była właścicielką prywatnej szkoły podstawowej, do której uczęszczały dzieci dobrze sytuowanych rodziców.

Na piętrze mieszkali państwo Kozięto, on adwokat był dzierżawcą majątku Staw Noakowski, z żoną, dwiema córkami i synem. Młodsza z córek, Zofia była naszą koleżanką z równoległej klasy liceum żeńskiego.

Mieszkało się tam wygodnie i spokojnie. Ponieważ nauka odbywała się sześć dni w tygodniu do domu jeździłem tylko na niedzielę.

Klasy lekcyjne w naszej szkole, głównym gmachu byłej Akademii Zamojskiej, były usytuowane tak jak w większości szkół- w długim korytarzu były wejścia do poszczególnych klas. Naprzeciw drzwi wejściowych były okna, a na prawo od drzwi tablica i stolik dla nauczyciela, na lewo ławki. Uczniowie siedzieli tak, że prawym ramieniem byli zwróceny do ściany, w której znajdowały się drzwi do korytarza, a lewym do okien.

Pomieszczenie, w którym my uczyliśmy się znajdowało się na końcu korytarza- dalej były już tylko drzwi zamknięte licznymi zamkami, za którymi było liceum żeńskie. W drugą stronę od następnych klas dzieliła nas tzw. kawiarnia, gdzie w czasie przerwy można było zjeść śniadanie. Wejście, okna i tablica były usytuowane tak jak w innych klasach, siedzieliśmy też prawym ramieniem do drzwi a lewym do okien, lecz przestrzeń od tablicy do pleców ostatniego rzędu siedzących była o połowę krótsza niż w innych klasach. Było tak ciasno, że 42 uczniów ledwie mogło się zmieścić w tym pomieszczeniu- siedzieliśmy nie w ławkach dwuosobowych, lecz w trzech szeregach, po 12- 13 kolegów w każdym. Brakowało tylko komendy: od lewego odlicz. A także w dwu dwuosobowych ławkach, dostawionych tyłem do okna, prostopadle do tych trzech szeregów, pomiędzy nimi a tablicą. W tych dwu ławkach siedziało nas czterech: ja, Chałupka, Stadniczuk i Małaszewski. Mnie wypadło siedzieć koło samej tablicy. Miejsce to pozwalało mi widzieć po lewej tablicę, i oddawałem się, być może niezbyt eleganckiemu wobec nauczycieli zajęciu, lecz bez ich protestów, a mianowicie zapisywałem w rogu tablicy ile jeszcze minut zostało do końca lekcji.

Trzej koledzy: Tadeusz Klukowski, Jerzy Kołątaj i Stanisław Kasprzysiak mieli po 16 lat, ja i kilku jeszcze po 17. Pozostali, na skutek braku możliwości nauki podczas wojny, byli starsi- niektórzy o pięć i więcej lat. Była to ostatnia

taka klasa- „wojenna”. Pięć lat i więcej w tym wieku stanowiło dużą różnicę. Szczególnie w doświadczeniu życiowym. Było kilku z przeszłością partyzancką- Henryk Cichocki absolwent kursu młodszych dowódców i kapral AK, Zbigniew Chałupka i kilku innych ze współpracą z organizacjami podziemnymi. Zdecydowana większość tych opóźnionych ukończyła gimnazjum w trybie przyspieszonym- dwie klasy gimnazjum w ciągu jednego roku kalendarzowego. Większość również знаła się, gdyż chodzili do tej szkoły już od kilku lat. Pomimo tego nie było sytuacji, aby tworzyły się jakieś grupy czy grupki, które trzymałyby się na uboczu. Odwrotnie myślę, że klasa była dość zgrana, a do jej zamojskiego „trzonu” i ich szkolnych zwyczajów chętnie dołączyli przybysze.

Tym niemniej, jak wszędzie w szkołach i pracy, zawiązywały się bliższe przyjaźnie. Tak powstała grupa, której Stasio Kasprzysiak nadał nazwę CHAMAKOSTADKLUK. Od początków nazwisk CHAłupka, MAłaszewski, KOłodziejczyk, STADniczuk, KLUKowski.

Zbyszek Chałupka, podczas okupacji niemieckiej wysiedlony z Wielkopolski, żołnierz AK, zwany przez nas „blady” z powodu bladej cery, chodzący w bryczesach i butach z cholewami. W tym czasie zmarł na gruźlicę jego starszy brat student, a ojciec główny księgowy w Zakładach Mięsnych, został aresztowany za posiadanie kilku złotych monet. Zbyszek nie skończył studiów i pracował w budownictwie. W latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy pracowałem w Zamościu, jako dyr. PKS, zatrudniłem go w swojej firmie. Ożenił się i miał dwie udane córki. Około roku 2000 zachorował na czerniaka, wskutek czego amputowano mu prawe ramię. Dwa lata później zmarł.

Adam Małaszewski, urodził się 2.10.1926 r. Podczas okupacji, aby uniknąć wywózki na roboty do Niemiec, zmieniono mu w metryce rok urodzenia na 1928. Był synem przedwojennego właściciela kina „Stylowy”, największego zamojskiego kina mieszczącego się w skasowanym jeszcze przez carskich zaborców kościele po franciszkańskim, dzisiaj przywróconym znowu do funkcji kościoła. Po wojnie i upaństwowieniu kina, jego ojciec pracował w tymże kinie, jako kinooperator- Adam, jako jego pomocnik. Adam często zapraszał nas do kabiny, z której wyświetlało się film. Można było tam obejrzeć film na kontrolnym ekranie. Kiedy czasami, b. rzadko wybieraliśmy się do knajpy, Adam zamawiał obwarzanek. Po czym przynależny mu kieliszek wódki wylewał na spodek, maczał w niej obwarzanek i namoczony wódką zajadał.

Skończył polonistykę na KUL-u, po której to uczelni nie mógł w dostać pracy. Próbował zatrudnić go Jurek Stadniczuk w Technikum Ekonomicznym w Chodakowie, którego był dyrektorem. Nie uzyskał jednak na to zgody swoich władz oświatowych. Po różnych perypetiach Adam dostał wreszcie w Warszawie pracę redaktora w wydawnictwie PAX, w którym przepracował kilkadziesiąt lat aż do emerytury. Ożenił się dosyć późno ze szkolną koleżanką z równoległej klasy licealnej w Zamościu Wandą Godziszewską, pracownicą Muzeum Narodowego. Miał z nią dwoje dzieci, syna i córkę, i pięcioro ukochanych wnuków. Żona zmarła nagle na atak serca, na przystanku tramwajowym. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, po moim powrocie z pracy na Białorusi, odnowiłem z nim naszą przyjaźń. Było nas tylko dwóch w Warszawie z naszej klasy maturalnej. Często bywałem u niego, a on bywał w moim domu. Wyjeżdżaliśmy razem do Zamościa, czasami wstępując po drodze do Władka Ćwika kolegi z równoległej, matematycznej klasy

maturalnej, późniejszego prorektora UMCS w Lublinie. Często też odwiedzaliśmy razem Jurka Stadniczuka i jego żonę. Zmarł Adam 26 maja 2006 w wieku 80 lat na chłoniaka.



**CHAMAKOSTADKLUK.** Od lewej stoją: Romuald Kołodziejczyk i Zbigniew Chałupka, w środku oparty o nich siedzi Adam Małaszewski. U góry od lewej Tadeusz Klukowski i zamiast Jerzego Stadniczuka Stasio Kasprzysiak.

Jerzy Stadniczuk, drużynowy wodnej drużyny harcerskiej w Zamościu, syn przedwojennego zawodowego podoficera urodzony w Brześciu nad Bugiem, zawędrował wraz z ojcem do Zamościa. Ukończył studia w Akademii Ekonomicznej w Krakowie. Nakazem pracy został skierowany do Chodakowa (dzisiaj przedmieście Sochaczewa) do pracy w Zakładach Chemicznych. Przeszedł potem do pracy w Technikum Ekonomicznym i długie lata był jego dyrektorem. Pod koniec pracy zawodowej był wizytatorem Kuratorium Oświaty w Skierniewicach. Ożenił się ze Stefanią Szymańską, stomatologiem- swoją szkolną sympatią, uczennicą równoległej klasy szkolnej z Zamościa. Stasio Kasprzysiak, który lubił układać lub przystosować do sytuacji znane wierszyki, już w czasach szkolnych lansował przeróbkę wiersza Boya: Figus (przezwise szkolne Stadniczuka) dostał takiej manii, że chciał tylko od Stefanii. W

rzeczywistości to Stefania, bardziej przedsiębiorcza i zdecydowana w tym stadle, już w latach szkolnych zabiegała o niego. Tak było i potem, z czego Jurek wydawał się być zadowolonym. Małżeństwo było bezdzietne. Zmarł Jerzy 12.06.2004 r. na raka mózgu. Przyszło mi żegnać go w czasie jego pogrzebu.

Tadkowi Klukowskiemu d-cy lubelskiej sekcji organizacji „Kraj” walczącej z reżimem komunistycznym, zamordowanym 16.6.1953 r. przez UB w wieku 22 lat- poświęcam osobne wspomnienia.

Inni, najlepiej zapamiętani moi koledzy z klasy przyrodniczej to wspomniany wyżej Stasio Kasprzysiak, świetny uczeń tak z przedmiotów humanistycznych jak i ścisłych, uhonorowany oficjalnym tytułem prymusa naszej klasy za rok 1949 (matura). Pięknie rysował, m. in. był autorem wzoru haftu i napisu: „Per asperam ad astra” na naszych uczniowski, granatowych czapkach, które nosiło się pomiędzy studniówką a maturą. Haftowały rysunek i napis poproszone o to koleżanki. Skończył Stasio architekturę w Politechnice Krakowskiej. Przez kilkanaście lat zajmował się inwentaryzacją i rekonstrukcją architektury drewnianej w Małopolsce pod kierownictwem prof. Zina. Od roku 1970 badacz architektury włoskiej, współprowadził wykopaliska archeologiczne w Luni, Simione, Brescii, Mediolanie, Rimini, Como, Sarsinie, Castelseprio, Breno, Cividate, Camuno. Wykonał rekonstrukcje graficzne architektury rzymskiej w kilkunastu włoskich książkach, tejsze architektury poświęconych. Autor kilku książek i świetny tłumacz kilkudziesięciu książek z literatury włoskiej. Nagradzany członek Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich i ZAiKS, Członek Związku Literatów Polskich. Odznaczony przez Rząd Republiki Włoskiej za zasługi dla włoskiej kultury.

Starostą klasy był wybrany przez nas Ryszard Skwarek. Wyportowany lekkoatleta i siatkarz. Do niego należały szkolne rekordy w biegach na 100 i 200 metrów, a także w skoku w dal. Pracował w PKS na stanowisku kierownika działu przewozów towarowych, a jego podwładnym był Czesław Rycyk też kolega z naszej maturalnej klasy.

Nierozłączną parę stanowili Jerzy Abramowicz i Marian Wróblewski. Jurka zapamiętałem z tego, że jego stosunek z rodzicami był partnerski, co w tamtych czasach było jeszcze wyjątkiem. W kilka lat po maturze popełnił samobójstwo strzelając do siebie z dubeltówki. Marian skończył stomatologię i przez wiele lat był kierownikiem Przychodni Stomatologicznej przy Akademii Medycznej w Lublinie. Ożenił się z Baśką Bębnowną sympatią z równoległej klasy liceum żeńskiego.

Henryk Cichocki był synem sekretarza sądu grodzkiego w Szczebrzeszynie. Absolwent kursu młodszych dowódców AK w randze kaprała. Po ukończeniu Liceum w Zamościu studiował prawo w UMCS w Lublinie. Pracował, jako prokurator w Zamościu a później w Płocku. Mieszkałem z nim w jednym pokoju w roku maturalnym 1948/49. Wysoki, wyportowany, był członkiem reprezentacyjnej drużyny szkolnej w siatkówce. Ożenił się z Zosią Smalówną koleżanką szkolną jeszcze ze Szczebrzeszyna. Niestety zmarli oboje dosyć młodo. Edward Danielewicz był w późniejszych latach głównym księgowym w Zakładach Tłuszczowych w Bodaczowie. Henryk Goździk po maturze studiował medycynę we Wrocławiu i tam pracował, jako lekarz.

Henryk Pakuła mój bliski kolega. Nie zdał niestety z nami do ostatniej klasy licealnej i maturę robił rok po mnie w 1950 r. Ukończył medycynę i był

potem znanym i wziętym ginekologiem w Lublinie. Ożenił się z koleżanką ze studiów, miał z nią dwoje dzieci. Córkę, która też ukończyła medycynę, oraz syna Marcina po studiach ogrodniczych. Przypadek zdarzył, że tenże Marcin ożenił się z moją siostrzenicą Magdalena Łowczyńską. Obdarzyli Heńka piękną wnuczką Katarzyną. Zmarł Heniek Pakuła na raka płuc około siedemdziesiątki.



Klasa licealna 1947/48. Stoją od lewej: Witold Sak, Tomasz Niechaj, Jan Kozik, Jan Rybacki, Stanisław Kasprzysiak, Leszek Nowicki, Edward Kwiecień, Romuald Kołodziejczyk, Henryk Cichocki, Maksymilian Piłat i Henryk Goździk. Siedzą od lewej: Henryk Pakuła i Jerzy Kołątaj.

Tadeusz Smoliński podczas mojej późniejszej pracy w Zamościu był przewodniczącym Powiatowego Związku Pszczelarzy. Występował na różnych naradach propagując rozwój pszczelarstwa, jako warunek podnoszenia wydajności w sadownictwie i ogrodnictwie.

Bogusław (Bobek) Hanaka utalentowany muzycznie, grał na wielu instrumentach, lecz szczególnie lubił grać na harmonii. Grał w orkiestrze szkolnej, ale także miał swój zespół. Nasłuchałem się sporo jego grania, gdyż mieszkaliśmy z nim w jednym pokoju w roku maturalnym 1948/49. Po maturze ukończył studia weterynaryjne. Niestety, wojsko chcąc zapewnić sobie kadre lekarzy weterynarii powołało go w swoje szeregi „na zawsze” i skierowało do pracy w Wojskach Ochrony Pogranicza w Bieszczadach. Ostatni raz widziałem się z nim w latach siedemdziesiątych XX wieku

Tomasz Niechaj jedyny, który nie zdał z nami matury. Czy i kiedy ją zdał nie wiem. W roku 1958 pojechał z wycieczką na wystawę światową w Brukseli, tam czekał na niego ktoś z bliskiej rodziny zamieszkałej w USA, który zabrał Tomka.



**Od lewej: pochylony Jurek Abramowicz, podający mu zapałki z papierosem w ustach Marian Wróblewski, Zbyszek Chałupka, Tadeusz Klukowski, w furażerce Edward Danielewicz, Adam Małaszewski i Wiesio Litwin.**



**Przy bramie prowadzącej do parku w Zamościu. W górnym rzędzie na bramie od lewej: Henryk Cichocki, Jurek Stadniczuk, Henryk Pakuła.**

**Niżej od lewej stoją: Witold Sak, Adam Małaszewski, Romuald Kołodziejczyk, Zbigniew Sternadel, Zbigniew Chałupka, Tadeusz Smoliński i Stanisław Kasprzysiak.**

Sternadel jedyny w naszej klasie członek Związku Walki Młodych, został ginekologiem, profesorem medycyny i ordynatorem kliniki ginekologiczno-położniczej, w szpitalu przy placu Starynkiewicza w Warszawie. Pacjentki tejże kliniki mówiły o nim, jako o dobrym lekarzu, troskliwie opiekującym się pacjentkami. Zmarł stosunkowo młodo.

Ryszard Karp z dobrymi zadatkami na aktora, studiował dwa lata historię w Lublinie. Za czasów mojej pracy w Zamościu w latach sześćdziesiątych, był kierownikiem Archiwum Powiatowego. Ożenił się z koleżanką szkolną z równoległej klasy maturalnej Liceum Żeńskiego Zofią Kozioł. Jedną z ich córek, Zofia Chomicz, prowadziła przez długie lata audycję dla kierowców w pierwszym programie Polskiego Radia. Niestety Rysio sympatyczny i inteligentny kolega zmarł w dość młodym wieku.

Jerzy Kołątaj był synem przedwojennego właściciela jednego z dwóch dużych sklepów „chrześcijańskich” w Szczepieszynie. Sklep o profilu „kolonialnym” (dzisiaj nazywałby się „Delikatesy”) był jedyny, w którym można było kupić produkty o podwyższonej jakości, oraz importowane pomarańcze, cytryny, daktyle itp. Zaopatrywali się tam szczególnie ludzie dobrze sytuowani. Był b. zdolnym uczniem. Ukończył polonistykę, a potem pracował, jako sekretarz redakcji Tygodnika Powszechnego. Niestety umarł dosyć wcześnie, w wieku 58 lat. Został pochowany jak wszyscy redaktorzy Tygodnika, poczynając od Turowicza, na cmentarzu w opactwie tynieckiego. Miał trzech synów.

Edward Kwiecień. Jego starszy brat, u którego mieszkał, pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa. Jednak Edward był lojalnym kolegą i nigdy nikt z klasy nie miał przez niego żadnych nieprzyjemności. A klasa była zdecydowanie i bojowo „reakcyjna”. Na ogromnym wiecu przed zamojskim ratuszem zwołanym z jakiejś okazji ryczeliśmy: precz z żydokomuną, wprowadzając naszego wychowawcę, przemiłego safandulę profesora matematyki Władysława Borkowskiego, zwanego powszechnie Piksafonem, w przerażenie. W ramach żartów, traktowanych tak przez obydwie strony, na lekcjach profesora Michała Pieszki, któryś z etatowych żartownisiów: Leszek Nowicki lub Henryk Goździk pytał Kwietnia dość głośno: Edek czy masz z sobą to, co potrzeba. Na to Kwiecień odpowiadał martwym basem: nie, zapomniałem, został w domu. Oczywiście chodziło o pistolet.

Wiesław Litwin syn kierownika szkoły w Wysokiem koło Zamościa, która nosi teraz imię jej budowniczego- ojca naszego Stasia Kasprzysiaaka. W tej to szkole mieliśmy w lipcu 1945 r. obóz harcerski prawdopodobnie pierwszy w Polsce po wojnie. Z tego obozu mój pisany na bieżąco dzienniczek zamieścił dr Andrzej Józwiakowski w swojej książce: „Związek Harcerstwa Polskiego w Szczepieszynie w latach 1944 – 1949”. **(Patrz—moje wspomnienia [www.szczepressyn.pl](http://www.szczepressyn.pl) : gimnazjum i harcerstwo)**. Wiesio ukończył studia medyczne, ożenił się z koleżanką ze studiów. Pracują oboje w Radzynie Podlaskim.

Jan Łyp grający na puzonie w zespole Bobka Hanaki. Ukończył zoologię i pracował, jako dyrektor Stacji Unasienniania Zwierząt w Zamościu.

Leszek Nowicki syn lekarza i pani stomatolog, wesolek mający zawsze jakiś dowcip do opowiedzenia. „Pomagał” prof. Pieszce rozpocząć wykład wykrzykując „w ogólności”, którego to wyrażenia prof. Pieszko nadużywał.

Maksymilian Piłat późniejszy profesor fizyki na UMCS w Lublinie.



O pozostałych kolegach klasowych mogę powiedzieć niewiele- nie znałem ich zbyt dobrze i przepadli w dziurawej pamięci.

Z równoległej klasy matematyczno- fizycznej zapamiętałem: Władysława Ćwika, który uzyskał na maturze wyróżnienie prymusa swojej klasy. Ukończył prawo, został profesorem zwyczajnym i przez pewien czas prorektorem UMCS w Lublinie. Pisał okolicznościowe wiersze z różnych okazji i na różne uroczystości, nie zaniechał tego podczas pracy na UMCS. Pisał m.in. szopki noworoczne niezbyt mile widziane przez kolegów profesorów. Był także kierownikiem literackim lubelskiego kabaretu „Czart”.

Tadeusz Stefański, ukończył architekturę w Szczecinie. Był docentem na architekturze Politechniki Warszawskiej. Podczas studiów w Szczecinie przyjeżdżała do niego jego dziewczyna, późniejsza żona, Basia Kawalkówna, koleżanka szkolna z równoległej klasy maturalnej Liceum Żeńskiego w Zamościu. Studiując także w Szczecinie chodziłem z nimi na dancingi do najmodniejszego wtedy lokalu w Szczecinie- „Oazy”. Byłem także na ich weselu w Zamościu.

Arkadiusz Kawęcki syn ówczesnego starosty powiatowego. Jego starszego brata oficera WP, człowieka „zabawowego” spotkałem potem w Szczecinie. Spędziliśmy z nim w knajpach kilka wesołych wieczorów i nocy.

Czesław Kiciński, starosta tej klasy, na powitanie którego klasa krzyczała: wodzu prowadź. Kiciński brał ten żart na serio- nadawał się do wojska. Ukończył studia w Wojskowej Akademii Technicznej i bodaj tam później pracował.

Andrzej Skopiński znany architekt warszawski, mający również pracownię w Belgii. Po raz pierwszy od czasów matury spotkałem go na pogrzebie Adama Małaszewskiego, na którym zjawił się nieoczekiwanie przeczytawszy nekrolog w gazecie. Teraz spotykamy się na comiesięcznych spotkaniach Koła Zamościan w Warszawie.

Z poza mojego „rocznika maturalnego” zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Kurzępą synem organisty ze Zwierzyńca. O „dwie klasy młodszy”, wysoki, dobrze zbudowany i przystojny. Poznałem go u mojej koleżanki i sympatii Jadzi Dąbrowskiej, która mieszkała na stacji u hrabiego Ronikera z trzema koleżankami ze Zwierzyńca: Wiesią Śmieciuszewską, Janką Buczakówną i Zytą, której nazwisko wypadło mi z pamięci. Chodziłem tam często, prawie każdego dnia. Moja przyjaźń z Jadzią była „stara jak świat”, bowiem chodziłem z nią do jednej klasy poczynając od szkoły powszechnej i gimnazjumcznie. Dołączałem do niej idącej rano koło mego domu ze stacji kolejowej, gdzie mieszkała 3 kilometry od szkoły. Podczas okupacji chodziłem z nią na lekcje uzupełniające, dzisiaj nazywane tajnym nauczaniem.

Koleżanki mieszkające z nią na stacji zaczęły nas łączyć w stadło i wywołując np. Jadzię z drugiego pokoju mówiły: Jadźka mąż przyszedł, lub do mnie: żony nie ma w domu. Do tych zwierzynieckich koleżanek przychodził Jurek Kurzępa. Wkrótce wszyscy zaprzyjaźniliśmy się z Jurkiem.

Być może znałem już Jurka wcześniej z obozu harcerskiego w Zwierzyńcu, ale tego nie pamiętam. Poznał się on również z Tadkiem Klukowskim, który w późniejszym czasie wciągnął Jurka do swojej działalności konspiracyjnej.

Z Jadzią Dąbrowską podtrzymywaliśmy, po moim wyjeździe do Szczecina, naszą znajomość korespondencyjnie. W dwa czy trzy lata później wyszła za mąż za prawnika p. Buchtę pracującego w Radzynie Podlaskim, jako

notariusz. Nigdy się już z nią więcej nie widziałem, tak jak i z Jurkiem Kurzępą, który po wsypie organizacji „Kraj” dostał karę śmierci, zamienioną później na dożywocie.

Dyrektorem naszego Liceum był Michał Bojarczuk. Polonista, dobry organizator, człowiek o dużym autorytecie tak wśród uczniów jak i w społeczności zamojskiej. Prowadził w naszej klasie nowo wprowadzony przedmiot propedeutykę filozofii. Utkwiło mi szczególnie w pamięci następujące związane z nim wydarzenie. Zebrani w auli wysłuchujemy jego wystąpienia, w którym ogłaszał wyniki egzaminów maturalnych. Po wyczytaniu mojego nazwiska zawiesza głos. Ogarnie mnie przerażenie, przez głowę przebiega myśl: nie zdałem matury! Dlaczego? Przecież na egzaminie szło mi wszystko dobrze. Czyżby, dlatego, że zdawałem w piątek 13 maja? Za kilka sekund dyrektor mówi dalej zwracając się do mnie: czytałem twoją pracę maturalną z języka polskiego i dałbym oceną o stopień wyższą niż uzyskałeś.

Po kilku latach, kiedy pracowałem w Zamościu, jako dyrektor PKS-największej firmy w Zamościu, zatrudniającej ponad 700 pracowników i przewożącej około 6.000.000 pasażerów rocznie (patrz [www.szczebressyn.pl](http://www.szczebressyn.pl)) miałem więcej kontaktów z dyrektorem Michałem Bojarczukiem, gdyż firma moja sprawowała modny w tych czasach „Patronat” nad naszą szkołą.

Najbardziej znanymi i wielkimi oryginałami byli dwaj starsi wiekiem profesorowie: Michał Pieszko i Stefan Miler. Ten pierwszy to wybitny geograf i regionalista. Niski, średnio korpulentny, szedł rano do szkoły raźnie szybkimi drobnymi krokami, co sprawiało wrażenie jak gdyby się toczył, a za nim podążała w odległości kilku metrów jego małżonka, która uczyła w Liceum Żeńskim. Nosił profesor prawdopodobnie staromodne długie kalessy zawiązywane u dołu wokół kostek na troczki, gdyż niekiedy taki odwiązany troczek ciągnął się za nim. Kiedy wchodził do klasy wszyscy wstawali, a nasz starosta Rysiek Skwarek krzychał na całe gardło: „cześć marszałkowi”, na co gromko odpowiadaliśmy trzykrotnym okrzykiem: „cześć, cześć, cześć”. Profesor Pieszko z zadowoleniem na obliczu zasiadał za profesorskim stolikiem i zaczynał wykład od ulubionego wyrażenia: w ogólności. Zresztą prawie zawsze uprzedzał go w tym, jak już wspominałem, Leszek Nowicki.

Jak głosiła uczniowska legenda kiedyś, podczas wycieczki do jakiegoś prehistorycznego wykopaliska, uczniowie znaleźli przedmiot, który określili, jako marszałkowską buławę i wręczyli ją profesorowi Pieszce mianując go w ten sposób marszałkiem. Jako jedyni mogliśmy wznosić te okrzyki ze względu na oddzielenie naszej klasy od innych pomieszczeń.

Profesor Stefan Miler wykładał biologię. Patriota, legionista Piłsudskiego był przed wojną przewodniczącym koła legionistów w Zamościu. Z tego tytułu był szeroko znany, gdyż podczas wielu uroczystości państwowych, pochodów i defilad prowadził zawsze grupę byłych legionistów. Po wkroczeniu do Polski Niemców został przez nich wezwany do podpisania Volkslisty. Ponieważ wzbraniał się, gestapo dało mu tydzień do namysłu grożąc aresztowaniem. Tydzień ten podobno wykorzystał profesor Miler do zmiany swojego nazwiska z Muller na Miler. Został przez gestapo aresztowany i podobno bity. Nie załamał się i folksdojczem nie został.

Z tych przeżyć powstał zapewne poniższy wiersz wydany przez Zenona Michalskiego.

## Wysiedlenie

Wszystko zabrali: pola me uprawne,  
i sad rozległy, i kwieciste łąki,  
gdzie mi płynęły dni jeszcze niedawne  
a gdzie nabrzmiały już wiosenne pąki  
i dom, gdzie lata spędziłem z rodziną:  
ze swoją żoną, dziećmi i dzieciną;  
ale choć żal mi kwitnących jabłoni  
i kwiatów barwnych, pachnących przez lato,  
choć pierś załka, oko łzę uroni,  
nurtuje w sercu inna radość za to:  
że pozostanę tym, czym zawsze byłem,  
o czym od dziecka śniłem i marzyłem.  
Nic nie pomagają złote obietnice  
i te namowy upojnymi słowy  
wolę ja burzy odczuć błyskawice,  
niż oszukańcze i perfidne mowy.  
Krew moja inna i moralność stała,  
ta, która matka sercem przekazała.  
Wiem, że mnie bieda czeka może długa,  
Lecz nie zatracę ducha już do końca,  
i będę znów czekał-przyjdzie wiosna druga,  
i znów mi z nieba błysnie promień słońca  
a chociaż zmienię na pewien czas dolę,  
za pęta ducha-swoją godność wolę.

Miler wysoki dość korpulentny, jak się w tych czasach mówiło postawny mężczyzna. Ogromną jego zasługą było utworzenie i utrzymywanie ogrodu zoologicznego. Był to chyba jedyne w Polsce ogród zoologiczny w powiatowym mieście. Istnieje do dzisiaj aczkolwiek w innym miejscu- przed wojną i tuż po niej, był usytuowany pomiędzy gmachem liceum a kościołem dla młodzieży szkolnej i łukiem ulicy Akademickie, vis a vis parku. Ogród posiadał kilkadziesiąt okazów zwierząt, w tym tak egzotyczne jak lwy czy małpy. Wyobrażam sobie ile trzeba było wysiłku, aby znaleźć pieniądze na jego na jego utrzymanie.

Najstarszym wiekowo profesorem był Tadeusz Gajewski, polonista. Bardzo szanowany, świetny znawca i wykładowca literatury polskiej. Zdarzało mu się na ułamek sekundy przysypiać, lecz ze względu na wiek i szacunek, jakim go darzyliśmy, siedzieliśmy w ciszy i udawaliśmy, że tego nie widzimy. Dzisiaj myślę, że przyczyną nie był wiek i zmęczenie życiem, ale daleko posunięta cukrzyca. Ale o tym wtedy nie mieliśmy zielonego pojęcia. Uczył nas zresztą bardzo krótko.

Na jego miejsce przyszła dobra, żywa polonistka w średnim wieku i tuszy lekko ponad normę, która prowadziła lekcje bardzo ciekawie i sporo nas nauczyła.

Jeremi Dragan doskonały nauczyciel języka angielskiego, nigdy się nie uśmiechał. Przedwojenny socjalista- zawsze w czerwonym krawacie. Absolwent Liceum w Zamościu i Uniwersytetu Batorego w Wilnie. Tu dygresja. W tych czasach, kiedy ktoś pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa mówiło się na

niego, że jest z Uniwersytetu Batorego, ponieważ pierwsze litery tych instytucji brzmiały UB. Oczywiście nie dotyczyło to prof. Dragana. Wywieziony do ZSRR, żołnierz armii Andersa i dywizji Maczka walczył pod Tobrukiem i w Normandii.

Inż. Stanisław Durko uczył fizyki. Nie był zawodowym nauczycielem, lecz wykładał w sposób żywy, zrozumiały i chyba rzeczy najbardziej potrzebne. Fizykę z mieszkającymi za mną w jednym pokoju kolegami powtarzaliśmy przed maturą wieczorami, gdyż stopień z niej miał być uwidoczniiony na świadectwie maturalnym. Ja, jak zawsze, już o godzinie 9.00 wieczorem byłem nieprzytomny, przestawałem się z nimi uczyć i kładłem się spać, co bardzo denerwowało Cichockiego, bo wiedział, tak jak i ja, że z fizyki stoję nietęgo. Dlatego, gdy profesor Durko wywołał mnie do odpowiedzi czułem się niepewnie. Ale zamiast pytania usłyszałem: nie mamy czasu- chcesz w ciemno dostateczny, czy pytamy się na lepszy stopień? Z miną skrzywdzonego dziecka zgodziłem się na dostateczny. Później podczas mojej pracy w Zamościu spotykałem inż. Durkę na uroczystościach rodzinnych moich znajomych państwa Wiszniowskich, gdzie okazał się człowiekiem bardzo towarzyskim i dowcipnym.

Nauczycielem wychowania fizycznego był Eugeniusz Hajkowski. Wielki entuzjasta sportu i wychowania fizycznego, wielki i głupawy oryginał, choć nie pamiętam już szczegółowo jego wyczynów.

Ksiądz Tadeusz Malec, rumiany i trochę podobny do panienki, katecheta szkolny, został przez nas zapamiętany, jako słodziutki, składający ręce do modlitwy „pomidor”. Na trochę żartobliwą propozycję, aby przyniósł zdającym maturę rozwiązania z matematyki dokonane przez kogoś na zewnątrz, złożył ręce i powiedział: lepiej matury nie zdać niż zgrzeszyć.

Nic nie zmieniło się w składzie tak uczniów jak i grona nauczycielskiego w następnym, maturalnym roku szkolnym 1948/49. Ubył nam tylko jeden kolega, Heniek Pakuła, który musiał powtarzać klasę pierwszą licealną, obecnie dziesiątą.

Dziesiątą, gdyż uległa zmianie organizacja szkoły. Miał to być model taki, jaki był w Związku Radzieckim- obowiązkowe wykształcenie średnie dla wszystkich obywateli, powszechna dziesięciolatka. Z dotychczasowego, przedwojennego modelu: 6 lat szkoły powszechnej + 2 lata GIMNAZJUM + 2 LICEUM postanowiono przechodzić na nową organizację stopniowo, w ciągu kilku lat. Najpierw tworząc jedenastolatkę, a potem dziesięciolatkę.

Pierwszy etap, wdrożony od 1 września 1948r obejmował obowiązkową ośmioletnią szkołę podstawową, oraz klasy od dziewiątej do jedenastej, które nazwano „Szkoła ogólnokształcąca stopnia licealnego”. Tak więc po jedenastu latach uczenia się, w roku szkolnym 1948/49 znaleźliśmy się w jedenastej klasie zamiast w drugiej licealnej. Do następnego etapu nigdy nie doszło, aż do upadku komunizmu w latach dziewięćdziesiątych utrzymał się model: osiem plus trzy.

U mnie zmieniło się sporo, bowiem przestałem mieszkać wspólnie z Tadekiem Klukowskim u państwa Składników. Tadek zamieszkał u pani Kasprzysiakowej mamy Staszka, a ja początkowo dojeżdżałem do Zamościa codziennie pociągiem, a na jesień i zimę zamieszkałem na stacji u pani Paszkowskiej. Dzielna ta niewiasta, wdowa, mama córki Ireny starszej od nas o rok czy dwa, radziła sobie w życiu wynajmując dwa duże pokoje uczniom. W każdym z tych pokoi mieszkało nas po czterech. Ze mną mieszkał Heniek Cichocki, Bobek Hanaka i Janek John, uczeń nie z naszej szkoły, którego

spotkałem później, w latach sześćdziesiątych XX wieku, w Tomaszowie Lubelskim. Był kawalerem, farmaceutą, kierownikiem apteki.

Staszek Kasprzysiak ułożył do melodii piosenki z filmu „Zakazane Piosenki” pt. „Teraz jest wojna...” następujące słowa:

Na rogu przy Lwowskiej  
U cioci Paszkowskiej  
Są chłopcy zabawa, więc wre  
Bo ciocia dzierlatka  
Ma Irkę i latka i za mąż wydać ją chce

W porównaniu ze stacją u państwa Składników miałem teraz zupełną swobodę. Paliło się w pokoju oficjalnie papierosy, można było wychodzić, kłaść się spać i wstawać, zasiadać do posiłków, itd., kiedy się chciało. Nie było żadnej kontroli. Nie wykorzystywaliśmy jednak swobody zanadto. Nie było np. nigdy picia alkoholu. Zabawy polegały na namiętnie rozgrywanych turniejach tenisa stołowego, gdzie podstawowymi atrybutami był duży stół i zeszyty w twardych okładkach zamiast raketek. Często na harmonii koncerty urządzał Bobek Hanaka, na które przychodziła Irka. Każdy uczył się i odrabiał lekcje w swoim rytmie. Chodziłem, jako jedyny, wcześniej spać i nie znośiłem palącej się żarówki, przy której, nieraz do późnej nocy, uczyli się koledzy. Budziłem się wcześniej niż inni i uczyłem się rano. Nie było jednak między nami żadnych zgrzytów.

Zbliżała się matura. Ale jeszcze przed nią studniówka. Brałem udział w przygotowaniu auli i innych sal lekcyjnych na tą okazję. Robiliśmy to popołudniami, a ostatecznie przygotowania nocą. Nazajutrz opowiadaliśmy wszystkim, że ukazało się nam jakieś niewyraźne widmo jak gdyby jeździec na koniu, być może sam hetman Zamoyski. Byli tacy, co prawda nieliczni, którzy w to trochę wierzyli. Sama studniówka odbyła się w dniu moich imienin. Nie obyło się od życzeń i wypicia, co nieco z kolegami.

Maturę, jak już wyżej pisałem, zdawałem 13 maja 1949 r. w piątek. Zdawałem sobie sprawę, że nie byłem do niej zbyt dobrze przygotowany. Byłem leniwy i niezbyt przykładąłem się do nauki. Prawie nie prowadziłem notatek, polegałem na chłonnej i dobrej pamięci bieżącej. Po wysłuchaniu wykładu, lub jednorazowym przeczytaniu materiału, mogłem powtórzyć go prawie wiernie. Ale po kilku miesiącach już nie wiele z tego pamiętałem. Jednak po przejściu do Liceum w Zamościu od razu stwierdziłem, że wielu wiadomości mi brakuje. Nie wiele się jednak wyróżniałem, gdyż większość kolegów była z klas przyspieszonych (w ciągu dwóch lat cztery klasy gimnazjum) i uczyła się wcale nie lepiej. Maturę zdałem gładko aczkolwiek na samych prawie dostatecznych.



**1949 r.--moje zdjęcie ze świadectwa maturalnego**